

Jan Czerniawski

Filozofia analityczna a metoda fenomenologiczna

Mimo różnych nieporozumień, o których niżej, wdzięczny jestem prof. Janowi Woleńskiemu za stworzenie mi swoją polemiką¹ z moją z założenia skrótową wypowiedzią² okazji do rozwinięcia niektórych zasygnalizowanych tam jedynie wątków. Całkowicie zgadzam się z sugestią, że powinienem być mówić raczej o bezpłodności, niż o impotencji. Chętnie też przyznam, że to, do czego przede wszystkim *viagra* się przydaje, potrafi bez żadnych problemów robić każdy filozof analityczny.

Problem ewentualnej potrzeby lekarstwa na epistemiczną bezpłodność filozofii analitycznej jednak pozostaje. Ze względu na odparcie mojego głównego argumentu na rzecz występowania takiej, zazwyczaj nieuświadomionej, potrzeby u wielu filozofów analitycznych, kluczowe wydaje się rozumowanie na s. 102 dotyczące równoważności (*R*), stanowiącej realizację schematu *T* Tarskiego. Zgadzam się, że równoważność ta jest w określonym sensie analityczna w metajęzyku względem języka zdania „*A*”; jest ona bowiem prawdziwa w każdym modelu tego metajęzyka. Aby jednak mówić o jej prawdziwości, bądź też porównywać pod względem prawdziwości zdania „„*A*” jest prawdziwe” i „*A*” stanowiące jej człony, trzeba użyć nie metajęzyka, lecz meta-metajęzyka względem języka zdania „*A*”, pod groźbą znanych kłopotów wynikających z semantycznej zamkniętości języka.

W meta-metajęzyku prawdą jest zaś, że wprowadzie każdy model metajęzyka, o jaki tu chodzi, jest zarazem modelem języka zdania „*A*”, ale nie odwrotnie. Warunki prawdziwości prawej strony równoważności (*R*) może więc realizować model, w którym jej lewa strona w ogóle nie ma interpretacji. Oczywiście znaczy to, że realizacja warunków prawdziwości tej pierwszej nie musi automatycznie stanowić reali-

¹ „Czy filozof analityczny potrzebuje epistemicznej *viagry*?”, *Filozofia Nauki*, nr 1/2000, s. 99–104.

² „O epistemicznej impotencji filozofii analitycznej”, *Filozofia Nauki*, nr 3–4/1998, s. 149–150.

zacji warunków prawdziwości tej drugiej, cokolwiek by to miało znaczyć w zgodzie z teorią prawdy Tarskiego.

Z drugiej strony, jeśli wspomniany meta-metajęzyk zawiera najważniejsze terminy teorii mnogości, to można w nim określić sens, w którym realizacja warunków prawdziwości zdania „*A*” zawiera się w realizacji warunków prawdziwości zdania „*„A*” jest prawdziwe”, ale nie odwrotnie. Otóż struktura każdego modelu języka przedmiotowego nie będącego modelem metajęzyka jest podstrukturą struktury pewnego modelu metajęzyka, nie zawierającą języka przedmiotowego ani relacji semantycznych.

Można zrozumieć niechęć zorientowanego lingwistycznie filozofa analitycznego do mówienia o podstawach przedmiotowych itp., choć w zasadzie należałoby oczekiwać wskazania preferowanego przezeń języka do wyrażenia treści z zakresu semantyki logicznej. Jeśli jednak już zgodził się mówić w tym „żargonie”, to nie może uniknąć uznania obowiązujących w nim faktów. Nie widzę więc żadnego rzetelnego powodu, dla którego mój znakomity Adwersarz, jako wybitny znawca teorii prawdy Tarskiego, mógłby zasadnie odrzucić mój argument na rzecz tezy, iż podjęcie problemu filozoficznego na poziomie przedmiotowym czyni go *prostszy* (choć niekoniecznie *prostym*, co stara mi się przypisać prof. Woleński) niż odpowiadający mu problem semantyczny. Oczywiście można mieć zamiłowanie do podejmowania raczej bardziej skomplikowanych problemów, niż ich prostszych odpowiedników; nie wiadomo jednak, dlaczego miałyby to prowadzić do sukcesu. Zawsze zresztą byłem przekonany, iż filozofię analityczną charakteryzuje raczej kartezjańska skłonność do rozkładania (*analizy*) złożonych problemów na prostsze podproblemy, niż do ich komplikacji. Jeśli jestem w błędzie, to byłbym wdzięczny, gdyby mnie ktoś o tym poinformował.

Nie jest to zresztą jedyna kwestia, w której gotów jestem dać się wyprowadzić z błędu. Zawsze np. wierzyłem, iż semantyczny dowód niesprzeczności geometrii nieeuklidesowych jest dobrze ugruntowanym wynikiem metalogicznym, a nie wyrazem partykularnego stanowiska w filozofii matematyki. Trudno mi też uwierzyć, by poglądy matematyków (których?), skądinąd w jakimś stopniu miarodajne, miały być dla filozofa analitycznego ostateczną instancją przy rozstrzygnięciu problemu podstawy sądów matematycznych. Chętnie również dowiedziałbym się, w jaki sposób fenomenolog mógłby zastosować swoją metodę, nie wykraczając poza nią np. w stronę konstrukcji formalnych, do przedmiotów nie konstruowalnych w naoczności.

Nie chciałbym, by moje „generalizacje socjologiczne” (por. s. 103) zostały potraktowane jako podstawa do oceny owocności metody fenomenologicznej, choć nie byłbym pewien, że wynik takiej oceny musiałby być dla niej niekorzystny. Nawet najlepsza metoda nie stanowi przecież absolutnego zabezpieczenia przed błędem. Z tego samego powodu nie zalecałbym opierania oceny filozofii analitycznej na przykładzie przytoczonego „wyjaśnienia” tezy Hume’a, iż powinność nie wynika z bytu, przez niezwrótność relacji dostępności w semantyce możliwych światów. Całkowicie zgadzam się z komentarzem, że „przekład zdania „*A*” na stosowny metajęzyk [...] wymaga uprzedniego zrozumienia zdania „*A*” jako przedmiotowego”, choć zupełnie

nie rozumiem, w jaki sposób na jego podstawie „argument z dostępu semantycznego do „A” po to, aby mieć takowy do sytuacji, że „A” jest prawdziwe, *upada natychmiast*” (s. 103, podkreśl. moje). To samo dotyczy podobnych oczekiwań w stosunku do twierdzenia, iż „obecni analitycy uważają, że rozumienie sformułowania problemu filozoficznego [...] jest faktem pierwotnym”.

Wydaje się, że omawiana tu polemika przypisuje mi generalnie negatywny stosunek do filozofii analitycznej. Sprawa ta wymaga wyjaśnienia. Zacznę od tego, że sam uważam się za filozofa analitycznego. Doceniam zdolność filozofii analitycznej do autokorekty; na takiej zresztą ocenie opieram wiarę w sensowność zawartego między wierszami moich uwag apelu o pozbycie się uprzedzeń w stosunku do metody fenomenologicznej, skierowanego całkiem jednoznacznie właśnie do filozofów analitycznych. Co więcej, uważam filozofię analityczną za nurt filozofii, w którym uzyskano najwięcej interesujących i zarazem dobrze ugruntowanych wyników poznawczych (ach, te moje ryzykowne uogólnienia!). Twierdzę tylko, że wiele z tych wyników uzyskano nie dzięki deklarowanej metodzie semantycznej, lecz dzięki co najmniej nieświadomie stosowanej metodzie fenomenologicznej. Przecież nawet wyniki semantyczne, w tym niearbitralną precyzację intuicji językowych, osiąga się przez badanie wprost dziedziny semantycznej, a nie przez przejście na poziom w stosunku do semantyki *semantyczny*, tj. meta-metajęzykowy.

Źródłem szeregu nieporozumień jest pewna dwuznaczność określenia „niezawodny”. Z jednej strony, potoczne rozumienie tego słowa sugeruje traktowanie jako niezawodną tylko metody zapewniającej nieomyślność. Nie będąc specjalistą w dziedzinie historii filozofii, mogę tylko wyrazić subiektywne przeświadczenie, iż mało prawdopodobne jest, by np. E. Husserl tak właśnie rozumiał niezawodność metody fenomenologicznej. Nikt rozsądny przecież nie może wykluczyć możliwości, że w swoim wglądzie coś przeoczył, co zostanie rozpoznane w nowym wglądzie, prowadzącym do korekty wyniku poprzedniego. Przecież takie korekty miewają miejsce nawet w matematyce!

Z drugiej strony, w logice jako *niezawodne* określa się wnioski zachowujące prawdziwość. Tak rozumiana niezawodność oczywiście nie zapewnia nieomyślności co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, w bardziej skomplikowanych wypadkach można dane rozumowanie błędnie potraktować jako zgodne z niezawodnymi regułami wnioskowania. Po drugie, same reguły mogą okazać się zawodne w toku dalszych badań logicznych.

W jaki sposób jednak ustala się niezawodność reguł logicznych? Oczywiście ani postulat, ani wgląd nie może *sprawić*, by reguła stała się niezawodna; byłby to, zaiste, cud (por. s. 100). Niezawodność reguły obowiązuje na gruncie określonej semantyki i jest *rozpoznawana*, a nie *ustanawiana*, w wyniku badań semantycznych. W wypadku rachunku zdań podstawą do takiego rozpoznania jest wgląd w odpowiednią, zupełną tabelę wartości logicznych, traktowanych jako nieanalizowalne własności zdań prostych i przyporządkowywanych zdaniom złożonym na mocy postulatów ustalających znaczenie spójników logicznych. W wypadku rachunku nazw lub predykatów

wartość logiczna nie jest już traktowana jako nieanalizowalna i jej przyporządkowanie zdaniom prostym opiera się na wglądzie w relacje semantyczne między występującymi w nich symbolami prostymi a odpowiednimi obiektami w strukturze modelu; zamiast wartościowań rozważa się więc różne interpretacje wyrażen języka w różnych jego modelach. Rozpoznanie niezawodności reguł wynikania, czy też uzyskanie jakiegokolwiek wyniku semantycznego na podstawie wglądu w dziedzinę semantyczną nie jest żadnym cudem, lecz powszechną praktyką w metalogice.

Wbrew pozorom, rozróżnienie między fenomenologią a filozofią analityczną nie jest tak wielki, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Jeśli zgodzić się, że istota stanowi przedmiotowy korelat pojęcia, pojęcie zaś jest znaczeniem wyrażenia będącego jego językowym wyrazem, to faktycznie fenomenologiczny wgląd w istotę zinterpretować można jako wgląd w znaczenia wyrażen (por. s. 103). Moim zdaniem, główna różnica dotyczy wyobrażeń na temat genezy pojęć. Język jako system umownie przyjętych znaków ulegać może daleko idącej modyfikacji. Z drugiej strony, nasze pojęcia odzwierciedlają «topologię» dziedziny *fenomenów*, tj. przedmiotów możliwych przedstawień naocznych. Jeśli więc przyjąć, że „intuicyjny wgląd [...] w sytuację przedmiotową dokonuje się zawsze za pośrednictwem języka”, to dziedzina ta jawi się jako wtórna względem języka i podlegająca kształtowaniu wraz z nim. W konsekwencji przypisywanie intuicyjnemu wglądowi w treść pojęć jakiejś znaczącej doniosłości epistemicznej jest znacznie utrudnione. W szczególności, nie jest jasne, w jakim sensie «logiczna ekspozycja» intuicji potocznych miałaby stanowić ich *obiektywizację*, która „wyłuszcza związek pomiędzy językiem a światem”, a nie jedynie arbitralną modyfikację.

Inaczej sprawa przedstawia się z punktu widzenia fenomenologii, która każe traktować dziedzinę fenomenalną jako pierwotną względem jej językowego opisu. Przy takim spojrzeniu zrozumiałe jest, że jej preegzystującą względem opisu „topologię” można opisać lepiej lub gorzej, a intuicje wyrażone w języku potocznym można doskonalić przez analizę fenomenologiczną i/lub „ekspozycję logiczną”. Jeśli zaś ponadto przyjąć ewolucyjny mechanizm kształtowania się ludzkiego aparatu percepcyjnego, to również kwestia odniesienia udoskonalonych w ten sposób intuicji do rzeczywistego świata nie przedstawia się najgorzej. Okazuje się więc, że uzupełniona o ewolucjonistyczną hipotezę wyjaśniającą fenomenologia dostarcza podstawy dla oczekiwań, które uprzedzony względem niej filozof analityczny może formułować jedynie jako wyznanie wiary.

Trudno powiedzieć, czy dla filozofa analitycznego lepiej jest posługiwać się metodą fenomenologiczną nieświadomie, czy nie posługiwać się nią wcale. W tym drugim wypadku, skądinąd bardzo trudnym do zrealizowania, wprawdzie nie dojdzie się do niczego interesującego, ale przynajmniej można uniknąć logicznych nadużyć, polegających na przypisaniu metodzie semantycznej wyników uzyskanych faktycznie inną metodą. Autor takich nadużyć naraża się na łatwą krytykę opartą na ich zdemaszkowaniu. Pod jej wpływem uzyskane wyniki jawią mu się jako rozstrzygnięcia arbitralne, pozbawione uzasadnienia, którego, jak się okazało, jedyna akceptowana przez

niego metoda nie może dostarczyć. W o wiele lepszej sytuacji jest, oczywiście, taki filozof analityczny, który metodę fenomenologiczną stosuje świadomie. Na szczęście nie jest to tylko konstrukt teoretyczny. Np. znany metodolog E.G. Zahar do rozwiązania problemu empirycznej bazy nauki z powodzeniem zastosował tak specyficzny zabieg, jak *redukcja fenomenologiczna*.³

Zapewne w jakimś stopniu uzasadnione, chociaż dość przewrotnie umotywowane zgorzienie wywołało moje twierdzenie, że na złą sławę metody fenomenologicznej zapracowali sami fenomenologowie, posługując się nią nieporządnie. Sprzeciw wzbudził nie tyle sam zarzut, co raczej presuponowane przezeń przekonanie, iż można obiektywnie odróżnić przypadki porządnego i nieporządnego stosowania tej metody. Zażądano sformułowania kryteriów (por. s. 100).

W odpowiedzi w zasadzie można byłoby poprzestać na zapytaniu o analogiczne kryteria dotyczące metody semantycznej. Wychodząc jednak naprzeciw powyższemu żądaniu, pragnę zauważyć, iż kryterium takie jest od dawna znane. Jest nim «bezzałożeniowość», rozumiana jako dążenie do unikania poprzedzających ogląd fenomenów, pochodzących skądinąd przesądzeń. Oczywiście nie sposób pozytywnie stwierdzić, że ktoś żadnym tego typu przesądzeniem nie uległ; analiza sposobu uzasadniania stawianych tez pozwala jednak niejednokrotnie zauważyć, w którym miejscu wywodu odegrały one jakąś rolę.

Daleki jestem od stwierdzenia, iż zawsze jest to łatwe; przeciwnie, często wymaga wysokiej kompetencji sprawdzającego. Uprzedzając dość prawdopodobny, acz banalny zarzut, śpieszę wyjaśnić, że dla uznania trafności tego rodzaju krytyki bynajmniej nie muszą takiej wysokiej kompetencji przypisywać sobie; wystarczy, bym był zdolny «zobaczyć» coś, co wskaże mi ktoś inny. Podobnie, nie trzeba być np. fizykiem na miarę Einsteina, by kompetentnie uznać trafność jego krytyki przedrelatywistycznych wyobrażeń na temat równoczesności.

Rzeczą kompetencji sprawdzanego jest zaś uznanie takiego rozpoznania i wycofanie się z pochopnie postawionej tezy. Niestety, często autor tezy trwa przy niej mimo trafnej krytyki. Takie właśnie przypadki uważam za przykłady nieporządnego stosowania metody fenomenologicznej. Zakładam, że prof. Woleński, który, jak sam wspomina, niejednokrotnie polemizował z fenomenologami, zgodzi się, iż przypadki takie miewają miejsce.

Co gorsza jednak, bywa również i tak, że przesądzenie leżące u podstaw uzyskanego przez fenomenologa wyniku jest na tyle widoczne, iż sam autor powinien być je bez trudu zauważyć. Spostrzeżenie czegoś takiego uzasadnia zakwestionowanie deklarowanej przez niego wierności zasadzie «bezzałożeniowości» nawet przed zapoznaniem go z odpowiednim argumentem krytycznym. Zdarza się to nawet największym. Na przykład R. Ingarden zdecydowanie twierdził, jakoby przyjęte w ramach reizmu nieistnienie jakości oznaczało niemożliwość sensownego orzekania o czym-

³ „The Popper-Lakatos controversy in the light of ‘Die beiden Grundprobleme der Erkenntnistheorie’”, *The British Journal for the Philosophy of Science* 1983, t. 34, s. 149—171, zwł. s. 157.

kolwiek,⁴ mimo że z pewnością znane mu były niezwykle klarowne wyjaśnienia T. Kotarbińskiego w tej kwestii.⁵

Można zapytać: A co, jeśli powstanie spór co do tego, czy coś «widać», czy nie? Przecież zdarza się nam ulegać urojeniom; z drugiej strony zaś, nikt nie uważa daltonisty za kompetentnego uczestnika dyskusji o kolorach. Środkiem do rozstrzygnięcia kontrowersji jest jednak krytyka. Zwolennik tezy pozytywnej powinien więc znaleźć dwa fenomeny różniące się pod dostrzeganym przez niego względem, jednak nierozróżnialne z punktu widzenia jego oponenta. Ich wskazanie oznaczałoby jego zwycięstwo w debacie.

Z drugiej strony, ich niewskazanie nie musi automatycznie oznaczać jego porażki. Może on bowiem twierdzić, że spostrzegany przez niego składnik fenomenu jest nieodłączny od innego, spostrzeganego przez jego oponenta. Oczywiście twierdzenie takie musiałby jakoś uzasadnić. Oponent zaś może spróbować wskazać mechanizm prowadzący do złudzenia, jakoby «widać» było coś tam, gdzie faktycznie niczego takiego nie ma.

Obie te możliwości oznaczają faktycznie wejście na płaszczyznę teoretyczną, co jednak nie musi skutkować uzależnieniem rozstrzygnięcia sporu od teorii. Ich uświadomienie sobie, jako *możliwości* właśnie, stanowi zawsze nowe światło, w którym uczestnicy debaty mogą «zobaczyć», czy jeden z nich «przeoczył» kontrowersyjny składnik fenomenu, czy też drugiemu tylko wydawało się, że coś «zobaczył». Zawsze w końcu trzeba jeszcze raz «spojrzeć». Sytuacja nie różni się tu istotnie od przypadków rozbieżności wyników obserwacji zmysłowej, z tym, że tam przyznawanie kompetencji daltonistom nie jest regułą.

Zalecając wyzbycie się uprzedzeń w stosunku do metody fenomenologicznej, jak najdalszy jestem od zniechęcania filozofów analitycznych do metod formalnych. Przeciwnie, choćby z samego przytoczonego na s. 100 cytatu jednoznacznie wynika, że nie uważam metody fenomenologicznej za wystarczającą. Co więcej, fenomenologom twierdzącym inaczej skłonny byłbym postawić analogiczny do przedstawionego filozofom analitycznym zarzut przypisywania swojej metodzie wyników faktycznie uzyskanych dzięki nieświadomemu stosowaniu metod formalnych. Oczywiście zarzut taki wymagałby oddzielnego uzasadnienia, na które tu brak miejsca.

Moją intencją jest jednak nie krytyka, lecz postulat, by filozofowie analityczni i fenomenologowie wyzbyli się wzajemnych animozji i połączyli wysiłki w celu wypracowania syntezy, jaką byłaby wspólna *metodologia filozoficzna* uwzględniająca wyniki wypracowane w obu nurtach. Potrzeba takiej syntezy wydaje się dziś bardziej paląca niż kiedykolwiek. Jeśli bowiem jakiś racjonalista jest zadowolony z aktualnego stanu rzeczy w filozofii, to mogą mu tylko pozazdrościć dobrego samopoczucia.

⁴ „W sprawie istnienia przedmiotów idealnych”, [w:] R. Ingarden, *Z teorii języka i filozoficznych podstaw logiki*, PWN, Warszawa 1972, s. 483—507, zwł. s. 506.

⁵ *Elementy teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk*, Ossolineum, Lwów 1929, cz. I, § 12, zwł. s. 65.